

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 153.

№ 15. | Warszawa, 1 sierpnia (19 lipca) 1905 r. | Rok VII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

W głębi lasu.

Do Pilawina.

Kto z czytelników „Łowca Polskiego“ spojrzy na ów tytuł, brzydkiego zkądinąd uczucia zazdrości nie doświadczając, tego — wotuję wykreślić z hufców naszej zbrojnej braci z pod sztandaru św. Huberta.

Zaciekawiony, jako hodowca i myśliwy, zarzadko, niestety, pojawiającemi się w naszym „Łowcu Polskim“, artykulami o Pilawinie, zaopatrzywszy się u właściciela w uprzejme zezwolenie zwiedzenia tego jedynego zwierzyńca, w upalny, czerwcowy wieczór puściłem się w oddaloną drogę, niepomny, że ojcowie nasi wykreślali stale poniedziałek, jako „ciężki dzień“, z programu zapoczątkowania wszelkich wyjazdów, pominięcie czego miało też niebawem zaciężeć na losach całej wycieczki, czyniąc jedynie wyjątek dla Pilawina, gdzie, najmilszych sercu przyrodnika doznawszy wrażeń, pragnąłbym podzielić się niemi na łamach naszego „Łowca Polskiego“ z profesyjną bracią.

Mimo ciemności nocy i powietrza dusznego, czwórka rączych „bałagułów“ szybko przebywała dwumilową przestrzeń, dzielącą mnie od najbliższej stacyi kolei Pol. Zach., podążając na kuryer odeski.

Czy to rozmarzenie, wywołane przesuwającemi się w mej wyobraźni, obrazami Pilawina, czy upojenie zmysłów wonią podolskich łąk i zbóż, dość, że w przeciwieństwie do oczekującej mnie podróży w ciasnym, upalnym wagonie, tak mi zrobiło się błogo pod gwiaździstym stropem, w otwartem polu, iż pragnąc przedłużyć tę część podróży, dla skrócenia tamtej, rzuciłem furmanowi, niemal gniewne, „stępa“. Konie zwolniły biegu, a jam się pogrążył w miłej zadumie. Migające światełka kolorowych latarni i gwizd parowozu wyrwały mnie z tego błogiego stanu, oznajmiając jednocześnie nadejście kuryera; rampa była już zamknięta, a poniedziałkowy wyjazd i rozmarzenie skarcone zostały wstrętnym noclegiem w żydowskim zajeździe. Następnego dnia dopiero podążyć mogłem do Sławuty, najbliższej stacyi Pilawina, odległej jednak o 50 wiorst drogi, bardzo monotonnej i nużącej, szczególnie przy upale 30° i kurzu, iście pustyniowym. Wprawdzie, woźnica mój, najęty żydek, dokładał wszelkich starań, by swą swadą uprzyjemniać mi podróż, ale pozostawałem głuchym na jego towarzyskie przymioty, z upragnieniem wyczekując końca męczącej podróży. Zamajaczyły wreszcie w oddali strzeliste dzwonnice świątyń, odcięły się na widnokręgu wyszczerbione szczyty zamku książąt Olgierdowiczów-Koreckich i po malowniczym moście, na Korczyku, dopływie Słuczy, wjechaliśmy do starożytnego Korca.

Prócz wymienionych ruin książęcego zamku, oraz byłego klasztoru ks. Franciszkanów, fundowanego przez tegoż imienia ks. Koreckiego na pamiątkę wyzwolenia z niewoli tureckiej, a dziś zeszpeconego miejscowym bizantynizmem, Korzec nie nosi śladów minionej świetności, zszedłszy do rzędu pospolitych mieścin. Po wygaśnięciu możnego rodu Koreckich, wszedł w dom ks. Czartoryskich, przeszedłszy jak wiano w dom hr. Potockich. Hrabia Józef niemało podniósł stan ekonomiczny miasta, wybudowawszy wspaniałą cukrownię.

Popas w typowem, starem domostwie, wydał mi się, po nużącej podróży, bardziej pokrzepiającym, aniżeli wczas w gabinecie Bristolu, a poczciwa właścicielka, izraelitka, wniósłszy tradycyjny samowar, zabawiała mnie rozmową, uparcie mnie biorąc za poszukującego w dobrach piszczowskich, obowiązku — oficyalistę.

Po godzinnym wypoczynku puściłem się w dalszą drogę, od Korca już pozbawioną cech nużącej jednostajności. Znakomita szosa, łącząca Brześć z Kijowem, bogate łany folwarków dóbr piszczowskich, gęsto wzdłuż drogi rozstawione słupy telefoniczne o herbowej Pilawie, wśród których mignął mi się Nr. 2287, świadczący o długości linii (150 wiorst od Antonin), — sprawiały, iż odległość 12-stu wiorst wydała mi się chwilą, tem więcej, iż coraz zbliżająca się, ciemna smuga borów, pociągała mnie już swym nieprzepartym urokiem. Skręcamy z szosy w lewo, mijając cienistą aleję, idącą w prawo do dworu Piszczowskiego, przed nami wyłania się z zieleni malowniczy dom p. Romualda Sokalskiego, głównego kierownika lasów piszczowskich, a znanego czytelnikom „Łowca Polskiego“, barwnego korespondenta tego pisma. Otóż i sam gospodarz zjawia się na ganku na nasze spotkanie. W sile wieku, przystojny brunet, o inteligentnym wyrazie oczu, w myśliwskim kostyumie z lodenu, od pierwszej chwili miłem obejściem, chwyta gościa

---

W PRZEWODNIĄ NIEDZIELĘ.

(Szkic myśliwski z Białej-Rusi).

> ...Po wielkiej puszczy, która, jak oko sięga,
> Czerniła się na całym brzegu widnokręga..
> *Pan Tadeusz.*

Wiosna roku 1904 późną była i mimo że kalendarz wskazywał już 10 kwietnia st. st., głuszce ledwo zaczynały tokować. Chciałem się na nie wybrać do Kłosińskiej puszczy. Wówczas jeszcze nie znałem o tyle miejscowości, abym się odważył sam wyruszyć, gdyż, zbłądziwszy, mógłbym chodzić dni kilka, nie spotykając żywej duszy. Postanowiłem przeto udać się do „odynaka“ [1]), Hrehora, o którym słyszałem, że zna puszczę, jak własną kieszeń, i jest doskonałym myśliwym. Hrehor, jak mi mówiono, od 35-iu lat mieszka w puszczy, o 15 wiorst od najbliższej wsi i żyje głównie z polowania. Opowiadania te mocno mnie zaciekawiły i pragnąłem go poznać. To też w przewodnią niedzielę o 10-ej rano, wziąwszy do torby moc naboi i zapasów do jedzenia, wyruszyłem w drogę. Jechałem wehikułem, zwykle do takich wypraw używanym, a zwanym tu „linijką“, z chłopakiem, który znał drogę do Razliwów, miejsca zamieszkania Hrehora. Jechaliśmy długo, gdyż zwykłą, letnią dróżką nie można było przejechać, z powodu roztopów i trzeba było sporo nakładać drogi. To też dopiero koło 3-ej po południu stanęliśmy u celu. Wyjechaliśmy na obszerną polanę, środkiem której płynął strumień, a po drugiej stronie tegoż stały: chałupka, śpichlerzyk i chlew.

Przed chatą, na potężnym pniu, siedział zupełnie siwy staruszek i oskrobywał nożem kij jałowcowy. Gdy spostrzegł zbliżającą się linijkę, wstał i począł nam się pilnie przyglądać.

— A kogóż to Pan Bóg przyprowadził? — spytał, gdyśmy się koło chaty zatrzymali.

Gdym mu powiedział swoje nazwisko, uśmiechnął się i rzekł:

— To, musi, popolować panicz przyjechał?

— Tak, a czy jest na co?

— Uhu! jeszczeby tutaj nie było; to już chyba do Sybiru jechać trzeba. Jest dość wszystkiego, ale proszę do chaty.

Przez ten czas przypatrywałem mu się ciekawie. Starzec był średniego wzrostu, siwy, z wielką, okrągłą łysiną i białemi, sumiastemi wąsami; brody nie nosił. Twarz miał koloru ciemno-bronzowego, obficie pokrytą zmarszczkami, szczególnie na skroniach, co jej nadawało dobroduszny wyraz. Ubrany był w koszulę

[1]) „Odynak“ — samotnik.

za serce. Pokrzepiwszy siły przygotowanym podwieczorkiem, a oglądnąwszy iście wspaniałą ilościowo kolekcyę rogów myśliwskich, wyruszam w towarzystwie miłego gospodarza do celu podróży, do Pilawina, odległego o trzy wiorsty. Cudowny wieczór letni, śliczna droga wśród wyniosłych dębów, sosen i modrzewi, i ożywiona gawędka z towarzyszem o tak niewyczerpanym przedmiocie, jak przyroda i myślistwo, wbrew woli skracają dystans. Otóż i występuje pośród drzew myśliwski pałacyk hr. Józefa Potockiego, w stylu, że tak go określę „rustique", na zewnątrz cały taflami kory brzozowej wyłożony, zdobny w mnogie jelenie rogi; tam też, na czas naszego pobytu,



Pałacyk myśliwski w Pilawinie.

mamy wyznaczone mieszkanie. Roztwierają się gościnne podwoje wjazdowej bramy, nad którą widnieje w herbowych kolorach napis: „Pilawin", i stajemy przed gankiem. Pałacyk wewnątrz cały drzewem wyłożony, przybrany w trofea myśliwskie i liczne okazy rogów, gustownie i wygodnie urządzony na przyjęcie tak samego właściciela, zjeżdżającego co wiosny na toki głuszców, jak też odwiedzającego wraz z dostojną swą rodziną, parę razy do roku, stworzony przez się raj myśliwski, — mieści w sobie w dodatku pokoje dla gości Hrabiego, służbowe, oraz mieszkanie p. Łowczego; opodal kuchnie, stajnie i wozownie, wszystko okolone wysokim parkanem, również korą brzozową wyłożonym, co w przeciwieństwie z ciemną zielenią, okalającą siedzibę dokoła, stanowi dla oka uroczy kontrast barw. Ale niema czasu do stracenia. Pan R. S. telefonem z domu konie już zamówił, a przy zachodzie słońca żubry chętnie na „Romciowej" lub „Józiowej" (polanki t. zw. od imion synów Hrabiego) na żer wychodzą. W mig też zajeżdża długi, myśliwski wóz o bocznem siedzeniu, zaprzęgnię-

---

z grubego płótna, przepasaną rzemieniem, bure w paski spodnie i długie, za kolana, buty. W chacie spotkała nas jego żona, staruszka, i zaraz zaczęła się krzątać koło olbrzymiego pieca.

Izba była obszerna, rozdzielona perkalową kotarą na dwie części. W mniejszej stały łóżka i kilka skrzyń; w większej, jaśniejszej, stał pod oknem stół, pomalowany na czerwono, i biało lakierowana szafa. Na ścianie wisiała wilcza skóra, na niej skrzyżowane dwie strzelby, pojedynka i dubeltówka, ogromna torba myśliwska i stara, żołnierska szabla. Między dwoma oknami wisiał wielki obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, przed którym paliła się zawieszona u sufitu lampka.

— A może panicz herbatki wypije? — spytał Hrehor.

Zgodziłem się chętnie i zacząłem wypytywać starego, jak żyje i dlaczego tu mieszka.

— Et, stare to czasy — zaczął Hrehor — musi już lat trzydzieści będzie, jak ja tu osiadł, a osiadłem z własnej woli. Jeszcze wtedy żył stary pan hrabia, Wielhorski, wieczny pokój (dobry był pan), a ja byłem u niego za leśnika. Była raz obława na niedźwiedzia zimową porą, ze trzy lata przed powstaniem. Obeszli to my jego, a leżał ot, tutaj, ze trzysta kroków ztąd; a wszystko tu jeszcze lasem zarosłe było. Postanowiłem to ja pana hrabiego (wieczny pokój) na najlepszem miejscu, a sam obok. Ruszyli. A on prosto i na pana hrabiego (wieczny pokój) lezie. Widzę ja: pan hrabia celi się, celi się, stuk raz, niedźwiedź podjął się na zadnie łapy i na niego, pan hrabia strzela drugi raz i nic, niedźwiedź już prawie że łapą zachwytuje; widzę ja, że kiepsko, podbiegłem z boku, da jak chwyciłem jego toporem po głowie, tak i zawalił się zwierz. A pan hrabia (wieczny pokój) do mnie: „Życie mi ocaliłeś, swoje narażając; czem ja ci się odwdzięczę? proś, o co chcesz". Więc ja wtedy poprosiłem, a już dawno o tem myślałem, żeby mnie pozwolił ot tutaj osiąść i do końca życia żyć. Póki pan hrabia (wieczny pokój) żył, byłem za leśnika; później mnie zwolnili i ot tak żyję tu sobie spokojnie.

— A z czego żyjecie? czy macie jaką emeryturę? — spytałem.

— Mam ordynaryę, a na odzienie i na co innego potrzeba, to sobie zarobię. Jeszcze zwierza tu dość. Ot, przeszłej zimy samych wiewierzyc [1]) i gronostai na 30 rubli zabiłem, a trzy kuny za 40 rubli. Dobrze tu żyć. Ot wczorajszego ranka głuszca zabiłem, tak i do dworu zaniosłem.

— Dokąd że pójdziemy jutro, czy gdzie blizko tu tokują?

— Tokuje tu jeden za pół wiorsty, ale my lepiej pójdziem na Wielki Mech, tam sztuk kilka jednego ranka zabić można.

— A daleko to ztąd?

[1]) Wiewiórki.

ty w parę rosłych gniadoszów, i ruszamy w głąb Pilawina.

Co to jest Pilawin? Protestuję przeciw nazwie zwierzyńca, sądząc, iż kto go zwiedzi, przyłączy się do mego protestu, nazwa ta albowiem pospolituje mi Pilawin. Zwierzyńców widziałem dużo w życiu, nie wyłączając „Schönbrunn“, lub też „Jardin d'Acclimatation“, gdzie bez wątpienia rozmaitość wszelkich okazów przewyższa spotykane w Pilawinie. W tym ostatnim jednak cel zakreślony przez właściciela, przyswajania krajowej, myśliwskiej hodowli, okazów szlachetniejszych gatunków, jaskrawo w swej sportowej specyalności występuje; indziej, przytem najciekawsze osobniki choćby, widziane są w najmniej interesującym stanie, albowiem w stanie niewoli, zawsze ujemnie działającym na wygląd zewnętrzny zwierza, gdy tymczasem w Pilawinie, ogromnej przestrzeni sześciu tysięcy morgów wykrojonej, a łącznej z olbrzymim kompleksem dwudziestu kilku tysięcy morgów wysokopiennego lasu, a podszytego gęstwiną, zwierz pozostaje w przyrodzonych ramach natury, użytkując przytem, jako dodatni czynnik do warunków bytu, z wysokiej kultury terenu i nieustannej opieki zarządu.

Dla zwiedzającego zaś, co za efekt potężny sprawia możność podglądania króla puszcz naszych, żubra, pędzącego wedle upodobania, na swobodzie, swój zwykły tryb życia; czy też łosia, nieodstępującego od swych zwyczajów, lub też cervidów z nad brzegu Amuru i głębi puszcz Mandżurskich, przyswojonych nadsluczańskiej strefie, a wszystkie okazy na tle wspaniałej, swojskiej, leśnej przyrody i w pysznej kondycyi. Nie, stanowczo, Pilawin zwierzyńcem nie jest, o nazwę zresztą nie chodzi, tam, gdzie smak



Wapiti.

— Nie bardzo; wiorst siedm będzie. Za pół godziny trzeba będzie iść, żeby zasadzić.

To mówiąc, zdjął ze ściany swoją jednolufkę. Była to strzelba 8-go kalibru, kapiszonówka, miała lufę ośmiokątną z cudnej, dziwerowej stali, długości około $^3/_4$ arszyna. Byłem nią zachwycony.

— To jeszcze pan hrabia (wieczny pokój) mnie podarował. A bijeż ona, to czort wie co! Tej zimy, jak dałem po wilku za ośmdziesiąt kroków zajęczym śrótem, tak trup. I kulą metnie bije.

Zdjął następnie ze ściany torbę, włożył w nią zawiniątko, które mu żona przygotowała, i począł powoli wciągać kożuch.

— A paniczu ciepło będzie? — spytał — bo nocować na dworze, to ze wszystkiem człowieka przebierze.

Dobrze zrobiłem, że, na wszelki wypadek, wziąłem z sobą kożuch, chociaż nie spodziewałem się, że trzeba będzie nocować w lesie. Po chwili ruszyliśmy.

— A nie wypuść tylko Żuczka! — krzyknął jeszcze Hrehor żonie.

— Czy to pies? — spytałem.

— Tak, to mój pies; bardzo mnie wiele pomaga. Prosty kundel, ale bardzo sprawnie chodzi i pędzi głosem wiewiórzycę i rysia.

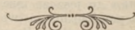
Szliśmy naprzód suchym, potężnym borem, zarosłym w dole leszczyną. Później weszliśmy na mech. W wielu miejscach w lesie śnieg jeszcze leżał, ale większa część mchu była już pod wodą. Pogoda była piękna, słońce świeciło, a nad mchem warczały kszyki. Dotarliśmy nareszcie do drugiego brzegu mchu, gdzie zaczął się śliczny, świerkowy, stary las, przetykany osiną, najlepsze tokowisko głuszcy.

— Ot, niechaj panicz tu zasiądzie — rzekł Hrehor, wskazując mi mały pagórek, na którym rosło kilka olbrzymich świerków, — a ja pójdę tam na ten ostrówek, w tamten rożek,—i wyciągnął rękę wzdłuż mchu, gdzie w odległości półtorej wiorsty widać było, porosłą wysokiemi świerkami, kępę. Poszedł. Przez czas jakiś słychać jeszcze było to chlupotanie wody, to chrzęst śniegu, to trzask suchych gałęzi pod jego stopami. Zostałem sam. Wybrałem sobie wygodny pień i zasiadłem. Wcześnie jeszcze było; promienie słoneczne przedzierały się tu i owdzie i rzucały złote plamy to na ciemną zieleń świerków, to na czerwone pnie sosen i olbrzymie, sękate osiny.

Na mchu wre jeszcze życie. Na rzeczce krzyczą kaczki; w powietrzu, co chwila, zakreślają łuki kszyki, spuszczając się ku ziemi, z tak miłem dla ucha warczeniem. Z gałęzi na gałąź przelatują drozdy, skrzecząc głośno.

Włodzimierz Korsak.

(C. d. n.).



estety, erudycya przyrodnika, zamiłowanie sportsmena, a środki wielkiego pana stworzyły całość, niemającą podobnej sobie w Europie, park albowiem ks. Bedford, najprzód leży po tamtej stronie kanału i jakkolwiek wspaniały, tylko jest parkiem; wskażcie mi więc gdziebądź, w środku dwudziestu tysięcy morgów, sześciotysięczną oazę, we wzorowej kulturze, z siecią dróg 30-towiorstowych, wybornie utrzymanych, zaludnioną około 200-tu wspaniałymi mieszkańcami dwóch półkuli, Ameryki i Azyi, a już zdobytymi dla krajowej hodowli?

Słońce skryło się po za ciemną linię boru, gdyśmy zbliżali się do obszernej polany, owsem i hreczką obsianej, na której przedstawił się nam czarujący oko myśliwego widok pasącego się stada jeleni Wapiti, wśród którego stary rogal, o ile zauważyłem, dwunastak, silną budową ciała o wiele przewyższał znane mi, karpackie jelenie. Podjechać się dały na jakie 40 kroków, bynajmniej obecnością naszą nie niepokojone. Zmrok już kompletny zapadł, musieliśmy więc wracać do domu, odkładając nazajutrz dalsze spotkania, o ile straż leśna wytropić je zdoła w miejscach chwilowego ich pobytu, gdy przejeżdżając obok „Romciowej", ujrzałem trzy kolosy żerujące. Z tej odległości, a przy słabem już bardzo oświetleniu, niemożebnem było dokładnie ich obejrzeć, a nieufne te stworzenia blizko nie dały się podjechać, obiecałem więc sobie jutro powetować to niepowodzenie.

Zetre.

(Dok. nast.).

WIKTOR STEPHAN.

KUROPATWA.

(Ciąg dalszy).

Z czworonożnych zwierząt są wszystkie mięsożerne, jedne mniej, drugie więcej niebezpieczne dla kuropatw. Lis, u nas największe i dla łowiectwa wogóle najszkodliwsze stworzenie, nie pardonuje kuropatwom ani młodym, ani starym. Szczególnie szkodliwym jest dla młodych kuropatw, bo właśnie w tym czasie, kiedy są młode kuropatwy, ma on i swoje potomstwo do wyżywienia.

Znane są wypadki, że lis (zwykle samica) wraca z wycieczki, do nor, w których ma młode, z 5, a nawet 6 młodemi kuropatwami w pysku; jakie więc wyrządza szkody w ciągu wychowywania młodych, łatwo sobie uzmysłowić. W zimie, na wysokim śniegu, lub gołoledzi, kiedy przeziębłe i głodne kuropatwy tulące się dla ciepła w gromadki, są mniej ostrożne, lis podchodzi niepostrzeżenie i zręcznym skokiem łapie swe ofiary.

Jeżeli lis najdzie stadko w dzień, to zwykle jedna kuropatwa pada ofiarą, a reszta ratuje się ucieczką, w ciemnościach nocy jednak dzieje się o wiele gorzej; przerażone kuropatwy rozlatują się na wszystkie strony, otaczająca ciemność utrudnia im wyszukanie odpowiedniego schronienia, a lis tymczasem widzi w nocy doskonale i przy pomocy wybornego węchu wybiera dalsze ofiary.

Na wiosnę, jeżeli lis natrafi na siedzącą starkę, to zwykle i kuropatwę zagryza i jaja niszczy. Lisy przebywają najchętniej w okolicach, w których łowiectwo stoi wysoko, i niewiadomo, skąd do tych miejscowości ciągle napływają, w miejscowościach bowiem, w których zwierzynę hodują, jest zwykle odpowiednia służba łowiecka, która każdego drapieżnika tępi na wszelkie sposoby; dlatego też i szkody, wyrządzane przez lisy, nie dochodzą do znaczniejszych rozmiarów.

Borsuk, na pozór stworzenie niezgrabne, jednak dla kuropatw i wogóle dla ptaków, gnieżdżących się na ziemi, jest szkodnikiem bardzo niebezpiecznym; niszczy on gniazda ptasie nietylko w lesie, ale i w polu, a pisklęta, o ile fruwać nie mogą, wyłapuje do „nogi", jeżeli na stadko natknie; specyalnie atoli na kuropatwy nie poluje.

Kuna leśna, jakkolwiek jest stworzeniem bardzo krwiożerczem, to jednak, z powodu, że żyje przeważnie w lesie, jest dla kuropatw mniej niebezpieczną, szkodliwszą natomiast jest kuna domowa, czyli kamionka, która od czasu do czasu wyrusza ze stodół i spichrzy za zdobyczą na poblizkie pola.

Do bardzo niebezpiecznych nieprzyjaciół kuropatw zaliczyć wypada tchórza i łaskę, niszczą one bowiem najczęściej całe gniazda z jajami, przyczem i starkę życia pozbawiają. Do młodych kuropatw, żerujących po łąkach, podkradają się te małe stworzenia niepostrzeżenie, znają bowiem dokładnie ich głosy, a wysoka trawa ułatwia im zbrodnicze zamiary.

Jeż, o ile się pojawi w znaczniejszej ilości, może również dotkliwe szkody wyrządzać w zwierzostanie przez wypijanie jaj.

Ze zwierząt domowych, psy i koty, włóczące się po polach, szczególnie w czasie lęgów, mogą znaczne szkody wyrządzać. Później, kiedy kuropatwy wyrosną, są zwykle o tyle czujne, że tak pies, jak i kot tylko zdziczały, a więc wyjątkowo, znaczniejsze szkody wyrządzać mogą. Dlatego też tępienie psów i kotów w czasie kopania kartofli i t. p. jesiennych robót, nie jest do zalecenia, bo zwykle, nie zdziczałe, psy i koty, wychodzą z domownikami istotnie na połów myszy i t. p.

Należy mieć na uwadze, że zabicie pieska, nieraz kosztownego, nie ma najmniejszego znaczenia dla łowiectwa, i służba myśliwska czyni to nie z przekonania ochrony, tylko w celu uzyskania strzałowego, tymczasem u włościan wywołuje śmierć faworyta rozgoryczenie, które w dalszej konsekwencyi staje się niejednokrotnie powodem bardzo niemiłych i niepożądanych następstw.

Służba łowiecka rozróżnia doskonale szkodliwe psy i koty od zwykłych piesków, więc na celowe tępienie tych szkodników wystarczy jedynie zwrócić uwagę i zabronić strzelać do psów nieszkodliwych.

Jako nieprzyjaciela kuropatw trudno pominąć człowieka, chociaż najczęściej staje się tępicielem mimowoli, lub z nieuwagi, np. nieuważny kosarz jednem pociągnięciem kosy przecina na gnieździe pilnie dosiadującą starkę, przyczem zwykle i jaja idą na marne. Pastuszek, o ile wyśledzi gniazdo kuropatw, stanie się ono napewno ofiarą nałogu wybierania ptakom jaj, z których niewiadomo jaką korzyść osiągają. Często już zalęgnięte jaja bezmyślnie rozbijają; ten objaw zdziczenia jest dowodem słabszego, umysłowego rozwoju u naszego chłopka. Obecnie, kiedy i w naszym kraju powstaje stopniowo coraz więcej szkół, możnaby w tym kierunku coś zdziałać przez nauczycieli i duchowieństwo.

Sprawa powyższa, jako pojedyńczy wypadek, może się wydać rzeczą błahą, na ogół jednak jest dla kraju nie bez znaczenia. Uznano to zagranicą i tam ptaki pożyteczne cieszą się oddawna zasłużoną ochroną. W zimie, kiedy pola pokryje wysoki śnieg, a w dodatku wierzchnia warstwa po odwilży zamarznie i powstanie gołoledź, przez którą kuropatwy w żaden sposób do żeru dostać się nie mogą, podchodzą zgłodniałe do stodół i zagród włościańskich.

Tutaj, zamiast gościnnego przyjęcia, spotyka kuropatwy zawód, bo chłopek, żądny lekkiego zysku, ustawia na obręczy zdradzieckie sidła z włosienia, między które dla przynęty sypie nieco plew i pośladu. Zgłodniałe ptaki chciwie rzucają się do wyszukania ziarnek pośladu, przyczem niebaczne łapią się je-

dne za szyjki, drugie za cicki. Jeżeli gołoledź trwa czas dłuższy, parte kuropatwy głodem, pomimo doświadczonej zdrady, podchodzą dni następnych do przynęty i giną nieraz w zdradzieckich sidłach całemi stadkami.

Chłopek z fuzyą w ręku jest dla kuropatw mniej niebezpieczny, kuropatwa bowiem jest za mała, aby mogła zrównoważyć wydatek za nabój i niebezpieczeństwo, spowodowane głośnym strzałem. Wyjątkowo czyni to zapamiętały kłusownik, kiedy w noc księżycową, nie bacząc na niebezpieczeństwo, strzela z sanek do skupionego stadka w bróździe, przyczem kilka sztuk zabija, a resztę kaleczy.

Bywa także, chociaż na szczęście w naszym kraju nie często, że sama natura dziesiątkuje kuropatwy. Zimno i wilgoć nie szkodzą tym ptakom tyle, ile szkodzą długotrwałe, wysokie śniegi, połączone z gołoledzią, co już na Ukrainie z czysto stepowym klimatem często się przytrafia; dlatego też w kraju tym pomimo wybornej ziemi i wysokiej kultury, kuropatwy nie utrzymują się w większych ilościach. Ile razy bowiem rozmnożą się do większej ilości, wiedzione instynktowem przeczuciem braku pożywienia, ciągną na południe i ratują się tym sposobem przed niechybną śmiercią głodową.

(*C. d. n.*)

PRAWO ŁOWIECKIE W POLSCE

w wiekach średnich.

(*Ciąg dalszy*).

5. Ciężary łowieckie prawa książęcego.

Dla ułatwienia działalności łowców książęcych służyły ciężary łowieckie prawa książęcego. Bez nich działalność łowców byłaby o wiele trudniejszą i mniej rentowną, gdyż utrzymanie podczas ciągłych podróży łowieckich zgrai łowców wymagałoby wiele kosztów i nakładu. Prócz tego łowy wymagały współudziału wielkiej ilości ludzi, by więc uniknąć powiększania liczby i tak licznej służby łowieckiej, nakładano na ludność ciężary, zmuszające ją do wykonywania pewnych usług osobistych lub uiszczania pewnych danin w naturaliach.

Wpośród przeróżnych ciężarów prawa książęcego, poczesną liczbę zajmują ciężary, odnoszące się do wykonywania przez księcia prawa polowania. Nie wszędzie te ciężary były jednakowe.

Częstokroć pewna dzielnica nie zna zupełnie danego ciężaru, który jest nałożony na ludność drugiej, lub czasem nazwa jedynie różni identyczne co do istotnej swej treści, obowiązki łowieckie.

Co do ich pochodzenia, to nie jest ono dla wszystkich ciężarów równoczesne. Potrzeba z jednej, a możność nakładania ich na ludność przez księcia z drugiej strony, wywołała powstanie pierwszych ciężarów, a czas ich powstania sięga w czasy, źródłową historyą nieobjęte. Później, z czasem liczba ich coraz wzrastała, wzrastało też smutne położenie i ucisk wieśniaków, przygniatanych ilością ogromną i trudnościami wykonania przeróżnych tych ciężarów i usług.

Przejdźmy do poszczególnych ciężarów łowieckich. Najogólniejszem mianem nazwany jest ciężar, nazywany w dokumentach „*venatio*“ [1]), zwykle bez bliższego określenia jego istoty. Jedynie z podobnych wzmianek trudnoby osądzić, czy należy pod tem rozumieć specyalny jakiś ciężar tak nazwany, czy też nazwa ta obejmuje rozmaite ciężary, odnoszące się do łowiectwa. Wyjaśnienie znajdujemy w Długosza *Liber beneficiorum*; czytamy tam mianowicie: *item tenentur ire cum tenutario ad venandum, et ibi tres aut quatuor dies cum eo manere et pausare* [1]). W innem zaś miejscu: *item emethones tenentur retia ducere in campum in venationes* [2]). Gdy obowiązek ten nie da się podporządkować pod żadną inną znaną nazwę, prawdopodobnem jest, że ten właśnie ciężar nazywano „*venatio*“. Był to więc ogólny obowiązek ludności wieśniaczej iść na łowy dla spełniania różnych posług pod rozkazami łowczych.

Podobnym, lecz również nie dość jasnym wydaje się być ciężar, zwany kłodnicze (chłodnice), spotykany w Wielkopolsce [3]), gdzie w dobrach, należących do klasztoru Cysterek w Owińsku (1250) był przedmiotem usług chłopów, w połowie wieku XIII-go zaś został zniesiony. Trudno jest zapewne wyjaśnić znaczenie tego wyrazu, źródła bowiem, prócz gołosłownej nazwy, nie podają nam bliższego określenia istoty tego ciężaru. Prawdopodobnie odnosi się ta nazwa do obowiązku robienia przez chłopów zasiek z pni zwalonych, używanych do rodzaju polowania, zwanego „kłoda“ [4]).

Inny ciężar określają słowa dokumentu: [5]) *incole villarum dictarum ad custodiam fere agitantis, que dicitur przelaya, dum mandati fuerint, a venatoribus nostris ire tenebuntur*. Istotę ciężaru określają słowa: „*custodia ferae agitantis*“, strzeżenia zwierzyny, łatwo swe ostoje zmieniającej, by z obrębu pewnych lasów nie uszła. Łatwo zrozumiemy, jak ciężkim musiał być ten obowiązek „przełaju“.

O jaką zwierzynę tu głównie chodziło, określa nam inny dyplomat: [6]) „*custodia cervorum, quod dicitur Prelaja*“; występuje tu druga nazwa tego obowiązku, pod którą go często w dyplomatach spotykamy „*custodia cervorum*“ [7]), a istota jego znów wymieniona jest w następujący sposób: *nec saltum cervorum super lacum observare tenentur* [8]), podobnież musieli chłopi zwracać uwagę i zdawać sprawę ze stanu i miejsca pobytu zwierzyny [9]).

Ciężar ten spotykamy głównie na Kujawach i Mazowszu, a prawdopodobnie był i w Wielkopolsce [10]), choć pod nazwą przełaju nie występuje.

W Wielkopolsce głównie, a także i w Łęczycy istniał ciężar, zwany w dokumentach srzonowe—srzon [11]) sron — szronowe. Występuje on nader często, zwłaszcza w Wielkopolsce (dokumenta wymieniają go 12 razy) w ciągu XIII i XIV w. Na Mazowszu i w Łęczycy spotykamy go po razu. Bliższego określenia tego obowiązku nie mamy, jeden tylko dokument mówi, iż ciężar ten *pertinet ad dignitatem venatoriam* [12]). Dokument z r. 1278 [13]), wymieniając ciężary w synonimach polskich i łacińskich, mówi: „strozha custodia, sron pruina, pobor solucio i t. d.“; sron — pruina, obydwa te słowa oznaczają to samo, a mianowicie: pierwszy śnieg, który dziś nazywamy ponową. Do

[1]) Kod. kat. krak. CXIV, stan, narzaz, venationes, prevod militali...

[1]) T. I, str. 627.

[2]) Ibid. I, 277, podobne przypadki Rzyszcz.-Muczk. T. II, cz. 2. DIII, ibid. XXXII.

[3]) Kod. Wielkop. 284 r. 1250, 303 r. 1252, 496 r. 1280, 518 r. 1282.

[4]) Według prof. Smolki „kłoda“ oznacza dyby, w które zakuwano więźniów, a kłodnicze obowiązek transportu więźniów. Mieszko Stary.

[5]) Rzyszcz.-Muczk. I. CXVIII, rok 1353.

[6]) Ibid. II, 2, CCCLII, z r. 1262.

[7]) Ulanowski, Dokum. kuj. i maz. nr. 13, „custodia ecorum“ niezawodnie zepsute „cervorum“, r. 1250.

[8]) Kod. Wielkop. 355, r. 1257.

[9]) Observent in villa sua transnatationem cervi, miejsca przepływu jelenia przez rzekę. Kętrzyński, 30 dokum. w 1.

[10]) Przełaj oznacza zabieżenie drogi, w tym wypadku jeleniom, patrz Linde.

[11]) KW. 1131, r. 1334.

[12]) Kod. Wielkop. 467 r. 1277 — 477 r. 1278. — 1131 r. 1334. — 1735 r. 1377. Ulan. Dkm. 178, r. 1240. Rzyszcz.-Muczk. 100, w r. 1278 i wiele innych.

[13]) Rzyszcz.-Muczk. I, LVIII. Kod. Mlp. III, str. 97, r. 1270.

dziś dnia dla myśliwego sprawa ta jest nader ważna, ma bowiem sposobność poznać po tropach na śniegu stan i jakość zwierzyny. Podobnie więc i wówczas było obowiązkiem chłopów, gdy spadł śnieg, tropić zwierzynę i wynajdywać jej schronienia dla użytku łowczego. Obowiązek ten został później reluowany na daninę, uiszczaną w owsie. Poznajemy to z zap. sąd. łęczyckich (Pawiński ks. sąd. łęcz. I, 737 i 744), gdzie Stanisława, subvenatora łęczyckiego, pozwał Mściszko, *venator* łęcz., *quod mandavit avenam recipere*, co nazywa także *pro quodam* srzonowego. Kto wie, że ciężar, zwany przez dokumenty „srezna“, „sressna“[1]), „posrezne“, nie oznacza właśnie zamienionego na uiszczanie w owsie „szronu“?.

Ciężar bardzo powszechny prawa książęcego, zwany „stanem“, dzieli się zwykle na stan monarszy, służebników książęcych, w szczególności łowców i stan gości. Nad tym drugim z wymienionych zatrzymajmy się chwilę.

Prawo żądania stanu należało do atrybucyi łowczych[2]). Pierwszym warunkiem wykonania ciężaru stanu była t. zw. *receptio*[3]), zwana także *statio*[4]), oznaczająca przyjęcie pod dach i ugoszczenie łowców; *custodia*[5]) zaś oznacza utrzymywanie i pieczę o ich wygody.

Et cum venator noster in villas memoratas venerit ipsum nutrire tenebuntur[6]), powiada Semowit mazowiecki—jest to drugi z obowiązków, w pojęcie „stanu“ wchodzących, a spotykamy go także pod nazwą „obiednego“ (*prandium*).

Do obowiązków więc stanu łowieckiego należało przyjmowanie i utrzymywanie książęcych koni, różnego rodzaju służby łowieckiej z psami, sieciami (*venatores cum retibus*)[7]) i t. p. Szczegóły wyjaśniają nam najlepiej same dyplomata, rzucając właściwe światło na sposób ich wykonania[8]). Bardzo często zwłaszcza wymienianem w źródłach jest *receptio castorariorum*[9]). Należy przytem wspomnieć, że obowiązek stanu ciężył na wszystkich wsiach, więc książęcych, kościelnych i rycerskich; te ostatnie jednak były pod tym względem uprzywilejowane w późniejszych czasach, ciężył bowiem ten obowiązek na nich niekiedy, tylko raz w roku, a gdy łowcy, zaskoczeni nocą, do wsi rycerskiej schronili się, musiano im wprawdzie dać przytułek, lecz nie miano obowiązku żywić[10]).

Przywilej ten zwano *receptio more militari*, a udzielano go niekiedy i wsiom nierycerskim[11]).

Obowiązek stanu łowieckiego ciężył także i na ludności wolnej[12]).

Wogóle stan łowiecki był jednym z najuciążliwszych dla chłopów, ciężarów. Łowcy ogałacali spiżarnie chłopa ze wszystkich zapasów, a bezwzględnością swoją przyprowadzali go do rozpaczy.

Dr. Tadeusz Mańkowski.

(*„Łowiec“*). *(C. d. n.).*

---

[1]) A pensione mensurae que srezna eque volgariter apellatur. Kod. Małop. CCCCXLIX, r. 1256.

[2]) Et de villis dicte domus nullam iurisdictionem usurpent sibi, quod vocatur polonice stan. Kod. Wielkop. 673.

[3]) Kod. Wielkop. 695, 639 i inne.

[4]) Kod. Małop. XXXI, CCCCXLIX.

[5]) Kod. Małop. CCCCL. K. W. 695. Ulan Dok. kuj. maz. 12.

[6]) Rzyszcz.-Muczk. I, CXVIII.

[7]) Kod. Mazow. 7.

[8]) Item ville ecclesiarum falconarios et falcones non recipient neque pascent, castoraros capientes castores ducent et procurabunt preterea venatores cervorum et aliarum bestiorum in villis ecclesiarum nihil per vim extorquebunt, nisi eis aliquid per bonam voluntatem exhibeatur. Kod. Wielkop. 235.

[9]) Tsch. St. 331. Ulan. 350.

[10]) Et venatores nostres moro militali recipiant, sed si ipsos venatores ad aliquam talium villarum pro nocturno declinare contigerit, solo feno erunt contenti et semel in annu recipientur, Rzyszcz.-Muczk. 443.

[11]) Kod. kat. krak. LXXXVIII.

[12]) Liberi homines.. in villis archiepiscopalibus et in Voybor et similiter Mazoviensi episcopatu ascripticiis permixti.. eadem qua et ascripticii libertate fruantur. Kod. Wielkop. 234, ibid. 236.

Polowanie ze pskowianami.

(Ciąg dalszy).

III.

W dalszym ciągu moich uwag o pskowskich polowaniach, przytoczę przykład dość ciekawego pędzenia w knici („ujma“). W tym wypadku pędzenie odbywa się wprost przeciw wiatrowi, a wilki wychodzą na stanowiska pod ostrym kątem do jego kierunku.

Gniazdo wilków, złożone z 8 sztuk, było zanęcone na jesieni i trzymało się w dość wysokim, mieszanym lesie, w którym jednak przeważały świerkowe drzewa—na przestrzeni jakich dziesięciu wiorst kwadratowych; wilki przechodziły z jednej części lasu do drugiej. Las był podzielony nieprawidłowemi liniami na dość wielkie mioty. W części lasu szła robota, a reszta tworzyła nieprzebyty gąszcz, zawalony na pół zgniłemi wykrotami. W tej też części lasu przez pewien czas trzymała się para rysiów. Boki *A*, *B* i *D* wyobrażonego na załączonej figurze, miotu dotykają bezpośrednio do lasu, od którego są oddzielone: po stronie *A*—drogą szerokości 5 arszynów, po stronach *B* i *D*—przecinkami na 15 arszynów szerokości. Od strony *C*—poręba (powyżej wiorsty kwadratowej), otoczona ze wszystkich stron lasem. Na tej to porębie w odległości 300 kroków od brzegu lasu położona była zanęta.

Wilki były doskonale zanęcone i zalegały zwykle w części, leżącej trochę na prawo od wyobrażonej na rysunku—w stronę *D*. Czasami przechodziły poza drogę *A*, a niekiedy zapuszczały się poza porębę. Na lewo w stronę *B* nigdy nie zachodziły.

Polowanie odbywało się na śniegu dość głębokim i ciężkim do chodzenia bez nart („sky“). W dzień polowania stare, wilcze tropy były zasypane ponową i tylko gdzieniegdzie można było dostrzedz nieznaczne jamki. Od zanęty pskowianie podjęli trop pięciu wilków i doprowadziwszy do wyobrażonego miotu, obcięli go po przecinkach i drodze. W polowaniu brało udział pięciu myśliwych (strzelców), trzech pskowian, 8 koni z saniami i 8 chłopów.

Początkowo otropiony miot miał około wiorsty głębokości, wzdłuż przecinek i powyżej wiorsty — wzdłuż drogi; był to miot za duży i niewygodny do pędzenia. Należało go, o ile możności, zmniejszyć i uregulować, zdecydowawszy, w którą stronę należy pędzić wilki.

Zwykle przesmyki wilków i doskonała dla myśliwych przecinka zdawały się wskazywać pędzenie na linię *D*, lecz kierunek wiatru (oznaczony na rysunku strzałką) czynił ten sposób niemożliwym. Pędzić na linię *B*, ścieśniając ku drodze, było ryzykownem, gdyż sądząc z charakteru lasu i kierunku tropów wchodowych, wilki mogły leżeć albo w środku miotu, albo bliżej ku drodze i prawemu kątowi; byłoby zbyt trudnem zabezpieczyć długi bok *A* od przerwania się wilków. Pędzić zaś wilki, robiąc ścieśnienie ku porębie, w tak wielkim miocie i wbrew ich zwykłym przesmykom, było wprost niemożliwem. Zdecydowano więc zrobić ścieśnienie ku linii *D*, a myśliwych ustawić na drodze.

Stosownie do tego i nie mogąc skrócić boku *A* (po drodze), pskowianie popróbowali skrócić niebezpieczną stronę ścieśnienia (*D*) i dzięki widocznej z tego boku goliźnie, udało im się skrócić go o połowę; poczem podjąwszy znów wchodowe tropy i określiwszy ich kierunek, pskowianie śmiało już obcięli kąt i część lewej strony w miejscu, gdzie las znacznie był przerzedzony.

Tym sposobem otrzymano krąg, wprawdzie dość duży, lecz do pędzenia dość wygodny.

Czysta i szeroka przecinka dawała nadzieję, że straszaki (sznury z flagami), poruszane dość silnym wiatrem, będą dostateczną zaporą dla wilków od strony ścieśnienia i skierują je na stanowisku. Na tym szczególe fundowały się wszelkie kombinacye pskowian, a, jak wykazał rezultat, rachuby ich zostały świetnie urzeczywistnione.

Ażeby wilki nie przerwały się przez drogę *A*, drogą szedł pskowianin (01), trzymając skrzydło przed resztą obławników. Drugi pskowianin — (02) trzymał środek, a trzeci—(03) zajął tropy wchodowe i ostrożnie nakrzykiwał, stojąc na miejscu i dając czas reszcie obławników zrównać się z nim. Po pierwszym wystrzale na stanowisku Nr. 1, ruszył on szybko w stronę przecinki *D*, odpędzając zwierza od tego boku, który po strzale stał się najniebezpieczniejszym.

Pędzenie przeciw wiatru, w nieprzebytej knici, pokrytej śnieżnym całunem, tak słabo dochodziło do myśliwych, że ja dwa razy stawiałem broń, aż póki nie usłyszałem dokładnie nawoływania pierwszego pskowianina.

Wilki wyszły na przecinkę *D* i przestraszone chorągiewkami, skręciły ku stanowiskom. Przerwać się pomiędzy rogiem a stanowiskami - nie mogły, gdyż



część ta była obstawiona końmi; niemniej jednak spróbowały tego, a nawet jeden koń, nastraszony przez wilka, zerwał cugle i poniósł aż do wsi o sześć wiorst, zabierając z sobą dochę i futerał od strzelby jednego z niefortunnych myśliwych. Gdyby w miocie był tylko jeden lub dwa wilki, to prawidłowiej byłoby urządzić stanowiska bliżej rogu, w odległości jakich 100—150 kroków od niego; lecz pędząc naraz 5 wilków, niepodobna było liczyć na to, że one pójdą wszystkie razem, a idące z tyłu po pierwszych strzałach napewnoby się przerwały przez bok *A*. Tak się też i stało: pierwsze trzy wilki padły na 1 numerze, a para, idąca z tyłu, wyszła już na 4 i 5 numer.

Wogóle polowanie odbywało się w miejscach bardzo nieodpowiednich. Chodzenie po lesie na nartach jest niemożliwe, dzięki masie zawał; dróg w nim bardzo mało; niemniej jednak wilki były zanęcone umyślnie do tej części, gdyż w prawo, ku *D*, w odległości 5 do 6 wiorst znajdują się wprawdzie doskonałe miejsca, lecz graniczą one z cudzemi lasami, w których zakładano również zanętę.

(C. d. n.)

Jagody i grzyby dla saren.

(Dokończenie).

Z kolei przechodzę do gatunku pokarmu dla saren, zapewne jeszcze zupełnie nieznanego, do grzybków (bedłek). Gdy mówiłem o tem przed laty jednemu ze swych towarzyszy z pod chorągwi św. Huberta, śmiał się ze mnie.

Ponieważ jednak od tego czasu już przez całe pięć lat robiłem z tem próby odpowiednie, mogę więc polecić je każdemu myśliwemu, zachęcając go też na tem miejscu, żeby raz sam dokonał próby, pod warunkiem jednak, że będzie miał właściwe do tego grzyby. Jak wszędzie w przyrodzie trzeba tylko mieć oczy dobrze otwarte, ażeby poznać się dokładnie z jej tajnikami.

Gdy raz zimową porą puściłem się po śniegu na łyżwach, zwanych „ski", po swym rewirze leśnym, obejmującym dziewicze drzewostany buków, jodeł i sosen, starych olbrzymów drzewnych,—spostrzegłem, jak sarna wdrapywała się przedniemi nogami na pień przypalonego, na pół zgniłego buku i starała się coś uchwycić, poczem to chciwie zjadała. Sądziłem, że zapewne wydobywa ztamtąd przymocowaną łatnicę plucową (rodzaj porostu ziemnego, plechę ma liściowatą, skórzastą, zieloną, wielolatową, pleszki cisawe; rośnie na bukach, dębach i t. p., smaku gorzkawo ściągającego i słonawego). Ponieważ droga moja prowadziła do tego buku, ujrzałem, że to były grzyby, które sarna zdejmowała z pnia i chętnie pożerała.

Grzyb ten, podług określenia prof. d-ra Harza z Monachium, nazywa się obecnie *Pleurotus ostreatus*, a dawniej zwano go *Agaricus ostreatus* (w Niemczech lud nazywa go „*Hackerlin*"). Rośnie w Czechach prawie wszędzie bardzo licznie, głównie tylko przy bukach, na zgniłych miejscach, które powstały najczęściej wskutek uprzedniego przypalania pnia podczas palenia gałęzi spadłych. Rośnie na różnych wysokościach, często na trzy do pięciu metrów ponad pniem.

Z wieloletniego doświadczenia przekonałem się, że sarny chętnie zjadają wszelkie grzyby, rosnące przy starych bukach. Nie należy jednak mieszać tego grzyba z grzybami, które także rosną przy pniach buków (po niemiecku zwane „*Hutersauen*"), a które bierze się w Czechach do udekorowania mieszkań. Również mieszać nie należy z grzybem, zwanym hubką, lub żagwią. Głównie zwrócić trzeba uwagę na grzyby bukowe, przeważnie jasno-niebieskie, jadalne, które wyrastają dopiero bardzo późną jesienią podczas pogody ciepłej, mglistej, na okaleczonych bukach, często na trzy do sześciu metrów nad ziemią. W Czechach chłopi za pomocą długich kijów zdejmują te grzyby, zabierają do domu, gdzie siekają je na drobne kawałki, poczem robią z nich pulpety i kładą je na buczynie, żeby jeszcze urastały; pulpety te służą za przekąskę, mają też smak bardzo dobry, ale trzeba do nich mieć zdrowy żołądek. Dalej idzie gatunek *Pleurotus ostreatus*, którego ludzie nie zbierają, a który często w pewnych latach zjawia się masami obok grzybów jadalnych; a wreszcie rosnące znacznie niżej, żółte, jadalne, małe bedłki zmienne. Wszystkie te gatunki sarny zjadają nader chciwie w zimie; grzyby te stanowią zarazem pożądane urozmaicenie w żerowaniu igieł i pączków, trwającem często bardzo długo. Odkryłem zeszłej zimy parę je-

szcze odpowiednich gatunków grzybów, lecz z wymienieniem ich poczekam do następnej zimy, żeby mieć większe doświadczenie.

Wszystkie te grzyby przyroda konserwuje sama na mrozie; w stanie zamrożonym bowiem wytrzymują bardzo długo na pniu, a przy pogodzie łagodniejszej, gdy odwilż następuje, odłamują się powoli, i sarny je zjadają na śniegu.

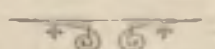
Jaki zatem jest sposób karmienia zwierzyny grzybami?

Najprzód objeżdżam na łyżwach „ski" najstarsze drzewostany bukowe i przy pomocy kija tych „ski" zrzucam lub odbijam grzyby, tylko nie wszystkie, lecz stopniowo porcyami. Gdy czuję, że sarny są w tej okolicy, to zostawiam grzyby na ziemi, poczem sarny je odnajdują; robotę taką można jednak wtedy tylko przedsiębrać, gdy można przypuścić, że piękna pogoda będzie trwać dłużej, albo, że wkrótce nastanie, oraz kiedy śnieg jest twardy, przez co sarny mogą łatwo żerować. Gdy zaś pogoda jest niedobra i śnieg nie jest twardy, lub gdy nie czuje się saren w pobliżu miejsca, gdzie grzyby rosną, to zbieramy je do torby i zanosimy do najbliższego drzewa, które widocznie często odwiedzają sarny, albo do najbliższej budki (paśnika), i tu rozkładamy grzyby w ten sposób, żeby ich śnieg znowu nie zasypywał prędko i żeby nie zamarzały, oraz, żeby sarny ich nie odrzucały za daleko.

Zeszłej zimy sarny początkowo nie chciały się zbliżać do paśnika, który był urządzony przy drodze bardzo ruchliwej. Zaproponowałem swemu dozorcy paśników, żeby tam rozłożył torbę grzybów bukowych, przezemnie zebranych, i od tego czasu codziennie tam przybywało około dziesięciu saren. Grzyby te zastępują u mnie rozmaite inne rośliny.

Ostatniej, ostrej zimy, mimo, że karmiłem starannie zwierzynę, kładąc w 12-stu paśnikach trzy wielkie fury siana, dużo podkrzewu malinowego i odpadków olszyny, oraz mnóstwo zrzucałem gałęzi jodeł, orzechu leśnego i rapy, dodając jeszcze wiele innych różnych rzeczy do paszy, padło u mnie nadzwyczaj dużo saren. Przypisałem winę tego wyłącznie zbytniemu karmieniu iglami, ponieważ od połowy listopada mieliśmy śniegi. A jeszcze byłem kontent, że mi się nie powtórzył wypadek z roku 1895, kiedy 60% mego sarnostanu legło pod wpływem ciężkiej zimy. Tymczasem za pomocą jagód i grzybów udaje się ocalić od wymarcia zimą mnóstwo saren".

K.



Listy do „Łowca Polskiego".

Jeszcze nieco o kszyku.

Krasnojarsk, *w maju.*

Idąc niezwłocznie za radą p. J. Biesiekierskiego, który, pisząc o piekucie (Nr. 10 „Łowca Polskiego" z r. b.), jest zdania, że „wartoby, aby i inni myśliwi dla ostatecznego wyjaśnienia prawdy, zechcieli zająć się ściślejszą obserwacyą i wyprowadzone wyniki do wiadomości podali", chętnie głos zabieram w tej sprawie, która od dawien dawna jest mi dokładnie znaną. Nie potrzebuję wcale zajmować się dziś tą obserwacyą, bo jak rzekłem, znam doskonale wszystko, co dotyczy owego piekuta, t. j. kszyka, niemal od dzieciństwa, chociaż ani mi się śniło, żeby nasz kszyk-bekas miał się jakimś piekutem nazywać.

Najmilsze wspomnienia dziecinne, a później młodzieńcze z przed lat jeszcze 30-tu, kiedy wstąpiłem do szkoły realnej w Białej-Cerkwi na Ukrainie w pamiętnym dla mnie, 1875 roku, łączą mnie ściśle z tym ptakiem. Na nim zacząłem, będąc uczniem czwartej klasy, uczyć się strzelać, a ile się napudłowało, o tem wolę zamilczeć. Posiadłość ś. p. ojca mego na granicy powiatów taraszczańskiego i skwirskiego, i dziś stanowiąca własność moich braci, leży nad wielkim obszarem łąki błotnistej, jak u nas powszechnie nazywają „rudy", stanowiącej w tem miejscu naturalne rozgraniczenie między wyżej wspomnianemi powiatami. Ta ruda była wówczas słynną na całą okolicę z obfitości ptactwa błotnego. Nic więc dziwnego, że sąsiedzi nasi w czasie sezonu, t. j. od połowy lipca aż do jesieni, po uzyskaniu pozwolenia (po nieodżałowanej i przedwczesnej śmierci ojca mego, lubiącego wszelkie polowania) od matki mojej, korzystali ze świetnych polowań na rudzie Ożohowieckiej. Miły Boże, jak te czasy, pełne uroku, przeszły prędko i bezpowrotnie.

Ale do rzeczy; na przestrzeni, rozciągającej się na dziesięć wiorst długości, z rowem, zamulonym po środku i od połowy do całej wiorsty szerokości, pokrytej w niektórych miejscach oczeretami z łozą i osoką, gdzieniegdzie olszyną, kruszyną i brzózkami, a przeważnie kępinami i rdzawem błotkiem z rzadką, szczeciniastą trawką, miały bekasy, dubelty, wodne kurki i chróściele, a pod jesień bekasiki, a w gąszczach słonki, żer wyśmienity, a pierwsze, t. j. kszyki i dubelty—idealne miejsce dla lęgu.

To też na wiosnę, już od połowy marca i przez cały kwiecień, aż do maja, można było nasłuchać się istnego koncertu ptasiego, szczególnie wieczorami i podczas nocy naszych Ukraińskich, ciepłych i cichych, jak słusznie mówi Gogol, że „Wy nie znacie Ukraińskich nocy", a ja po nim w skromności swej nie śmiem podjąć pióra dla opisania całego czaru tych nocy.

Tuż za ogrodem, w najszerszem swem miejscu ciągnęła się ruda, czyli łąki bagniste i dość było wyjść na balkon od strony ogrodu, żeby nasłuchać się najrozmaitszych odgłosów wiosennych błotnego i wodnego ptactwa; tu bąk grubym basem huczy, dając znać o sobie, tu kaczki krzyczą najrozmaitszemi głosami, wszelkich gatunków kulony i kuliki poświstują, każdy po swojemu, gdzieś w oddaleniu odezwały się żórawie, kukułka radosne swe *ku-ku* raz po raz powtarza, bekasy huczą drobnem drżeniem skrzydełek, a derkacz (chróściel) drze się na całe gardło i starając się wziąć rekord wśród ogólnego koncertu, usiłuje wszystkich, nawet i słowika, w ogrodzie zagłuszyć. Nic dziwnego, że w takiem Eldorado mogłem dowoli lubować się naszą czarującą przyrodą Ukraińską, a jednocześnie obserwować obyczaje naszego ptactwa błotnego wogóle, a w szczególności bekasów.

Nie dziesiątki i nie setki, a może tysiące razy słyszałem i widziałem szybujące w powietrzu i tokujące bekasy, i z całą stanowczością twierdzę, że beczenie owo, a właściwie *huczenie,* gdyż zgłoski *b* wcale się nie słyszy, wydaje ptak li tylko i jedynie skrzydełkami, spadając nagle z góry ku dołowi, przyczem leci jednocześnie ukośnie i na przemiany, według swego upodobania, raz mając prawe skrzydełko stosunkowo do lewego (przy locie ukośnym) więcej opuszczone, to znów lewe, trzymające niżej, aniżeli prawe, przy odwrotnej manipulacyi. Wtedy lotki ptaka literalnie drgają, co przy bliższej odległości daje się doskonale obserwować gołem okiem. Zdarza się przytem, że podnosi się on często nawet tak wysoko, że go ledwie dojrzeć można w obłokach, a huczenie i z tej odległości słyszy się dokładnie i wyraźnie. Gdy nalata się do syta, co może trwać od kwadransa do pół godziny, wtedy nagle spada na ziemię i w chwili siadania słyszy się właśnie owo niby *pi-kut,* podobniejsze to jest jednak do *ki-kit, ki-kit, ki-kit,* w szybkiem tępie powtarzane, z silnym akcentem na ostatniej sylabie; kontynuuje bekas swe *ki-kit* w dalszym ciągu, siedząc na ziemi. Tak samo odzywa się i latając przy wzbijaniu się w górę, jak to słusznie mówi p. J. Biesiekierski, częściej jednak przy locie

poziomym, a najdobitniej i zawsze w chwili siadania blizko nad ziemią, i potem jakiś czas, jak powiedziałem, już na ziemi.

Powszechnie doskonale znane wszystkim myśliwym przy podrywaniu się bekasa *kszii-kszii*, wydają wszystkie ptaki tego gatunku i na wiosnę i latem, w jesieni, i dlatego u nas na Ukrainie, a i na Wołyniu również, inaczej nie nazywają bekasa, jak tylko kszykiem. Nazywać kszyka albo bekasika jakimś piekutem uważam za niewłaściwe.

Dla fielauza nazwa bekasik, według mego zdania, jest doskonałą, chociaż ten ptaszek, najmniejszy z rodu bekasiego, z kształtu swego i całej budowy, bez porównania więcej jest zbliżony i przypomina tem samem dubelta: mógłby więc również dobrze nazwany być dubelcikiem. Dla mnie, jak i dla naszych ojców i dziadów, pozostanie on zawsze bekasikiem. Piekut i fielauz niech tedy raz na zawsze będą wykluczone ze słownika myśliwskiego; proszę o to w imię zachowania czystości naszego języka.

Na zakończenie „pro publico bono“ i ku pożytkowi ornitologii wogóle, a myśliwskiej w szczególności, dodam jeszcze kilka słów o bekasach syberyjskich, których tu mamy aż trzy odmiany, prócz właściwego *Scolapax gallinago*.

Najrzadszym egzemplarzem, pojawiającym się dopiero w jesieni, jest bekas azyatycki, przebywający zwykle na płaskowzgórzach Himalajów i Sajanów, który nie odlatuje wcale przed zimą, a zimuje, trzymając się ciepłych źródlisk i niezamarzających oparzelisk. Jest to *Scolapax solitaria*, który rzadziej się spotyka, aniżeli *Scolapax major*, czyli dubelt; z kształtu jednak więcej przypomina kszyka, a w ogonie ma dwadzieścia dwa piórka (zamiast czternastu), z których boczne piórka zwężone po sześć z każdej strony, kończą się szpiczasto.

W kolorze opierzenia przeważa nakrapianie z odcieniem oliwkowym. Jedyny, widziany, żywy egzemplarz udało mi się zabić w pierwszym roku mego pobytu na Syberyi w końcu września 1894 r., t. j. w czasie, kiedy już kszyków wcale niema, gdyż odlatują tu one po pierwszych przymrozkach już w końcu sierpnia, a najpóźniej pierwszych dni września. Dubelt zaś w połowie sierpnia już jest rzadko widziany i tylko marudery jakieś lub postrzałki dłużej zostają.

Drugim syberyjskim bekasem jest tajgowy albo leśny bekas (*Scolapax megalia*). Pełno go wszędzie w tajdze i tokuje, szybując w powietrzu na podobieństwo naszego kszyka, ale z powodu zapewne znacznie mocniejszego i szybszego tempa drgających skrzydełek i gwałtowniejszego rzucania się na dół, próje on sobą powietrze, jakby strzałą, z czego otrzymuje się odgłos sycząco-świszczący, podobny do syreny z silnym świstem *dżiii*. Te *dżiii* przeciągle słychać bardzo daleko, conajmniej na wiorstę, w nocy szczególniej. Przy locie w górę, zamiast *ki-kit, ki-kit*, wydaje dźwięki syczące *cze-czek, cze-czek, cze-czek* i w lataniu nie zmordowany jest do zadziwienia. Żaden ptak nie robi tyle hałasu w tajdze, co ten mały, stosunkowo, a energiczny i zwinny ptaszek. Zaczyna on swe ewolucye nadpowietrzne w połowie kwietnia już od godziny 2-ej w nocy i przeciąga się to, aż do połowy czerwca, czyli całe dwa miesiące. Z wieczora rozpoczyna latanie i tokowanie na parę godzin przed zachodem słońca, niekiedy i wcześniej, a kończy około 10-ej, nawet i do 11-ej czasem dociągając. Przypuszczam, że w czasie latania musi żywić się muszkami i komarami.

W czasie toków głuszców przeszkadza ogromnie w podchodzeniu i wysłuchywaniu i może (bestya) do rozpaczy myśliwego doprowadzić. Wielkości jest prawie takiej, jak nasz kszyk, albo nieco mniejszy, w ogonie ma od 18 do 22 piórek, z których boczne sterówki bardzo zwężają się i ostro kończą, twarde są przytem i sztywne, a w kolorze całego opierzenia przeważa kolor szary, nakrapiany w taki sposób, jak i u naszego zwyczajnego, krajowego kszyka.

Wreszcie ostatni z rodziny bekasiej, tylko na Syberyi spotykany, jest to *Scolapax stenura*, przebywający częściowo na skraiskach tajgi i t. zw. „pad'ajch“, odpowiadających naszym jarom Ukraińskim, częściowo na wysokich, zupełnie suchych i odkrytych miejscach w czystej (bez zarośli) trawie; przy podrywaniu się zawsze na strzał o jakie dwadzieścia kroków leci z początku szparko i wykrętami nad ziemią, wznosząc się potem stopniowo w górę i zataczając wielkie półkole, odlatuje z jakie paręset kroków, zapadając, i cieknie niezwłocznie, zmieniając prędko miejsce, tak, że nim się dojdzie do miejsca, gdzie usiadł, już go tam niema, a porywa się dalej w innem miejscu, najczęściej z boku, nie wydając głosu. Od poprzedniego tajgowego różni się tylko ilością sterówek w ogonie, których bywa po 24 i nawet po 26, a tak są zwężone, szpiczaste i ostre, a przytem sztywne (mówię tu o bocznych), że wyglądają prawie jak szydła i znacznie jaśniejsze są od środkowych.

Polując na młode cietrzewie, czasem znajdowałem te bekasy, które tu nazywają „gornyj bekas“ dla odróżnienia od tajgowego; trzymały się one tylko w pewnych miejscowościach uprzywilejowanych i wybranych przez nie, ale zawsze w bardzo ograniczonej ilości. Strzał do nich jest bardzo trudny i bodaj, czy nie najtrudniejszy ze wszystkiej znanej mi zwierzyny z ptasiego świata.

Zdaje mi się, że sprawozdaniem tem wyczerpałem całą swoją erudycyę zarówno o naszym, jak i o syberyjskich bekasach. W innym czasie i miejscu napiszę o tokowaniu i tokach *Scolapax major*, t. j. dubeltów.

Rad będę niewymownie, jeżeli dzieląc się tym pobieżnym szkicem z kolegami—myśliwymi, przyczynić się zdołam choć w małej części, ku uzupełnieniu wiedzy tych z pod sztandaru św. Huberta, dla których opisane przezemnie szczegóły nie były dotąd znane.

Przecławski.

Tegoroczne lęgi kuropatw.

Sobolew, *12 lipca.*

Ze zdziwieniem wyczytałem w n-rze 11 „Łowca Polskiego“ wiadomość z Osiecka, o tem, że straż myśliwska widziała w d. 1-ym maja stadko młodych kuropatw; był to chyba fakt wyjątkowy, jak na ten rok, gdyż nietylko u mnie, ale i u kilku sąsiadów moich w koszonych po połowie czerwca koniczynach, znajdowaliśmy gniazda kuropatw z jajkami, jeszcze niezalęgniętemi, a nie dość tego, bo teraz, przy rozpoczętych w zeszłym tygodniu żniwach, znajdujemy kuropatwy, siedzące na jajkach; wiem już w promieniu parowiorstowym około mnie o znalezionych pięciu gniazdach kuropatw, siedzących na jajkach w zżętem życie, u mnie już z dwóch gniazd jajka są pod kurą. Wobec tego myślę, że kuropatw będzie bardzo niewiele w tym roku, szczególniej na wydzierżawionych od włościan gruntach, bo tam, napewno ani jedno gniazdo, znalezione w życie, nie ocaleje, chociaż i na dworskich gruntach, połowa zaledwie tych kuropatw, któreby w normalny sposób były wylęgnięte, będzie tylko, bo przy wysiadaniu jaj przez kury, a następnie chowaniu młodych kuropatw, połowa ich marnieje.

Muszę się podzielić z czytelnikami „Łowca Polskiego“ wiadomością, udzieloną mi przez jednego z sąsiadów o wronach: w skoszonej koniczynie znaleziono trzy gniazda kuropatw, siedzących na jajach, ponieważ były obkoszone, wszelkie więc było prawdopodobieństwo powrotu kuropatw na gniazda, a zatem jaja były niewybierane. Przez godzinę południa wrony, spacerujące po skoszonej koniczynie, doszczętnie

je wybrały, połykając widocznie, bo śladu najmniejszego po jajkach w gniazdach nie zostało, a na polu, oprócz wron, przez ten czas absolutnie nikt nie był.

Łaski.

Toki głuczców w Mierzowie.

W d. 20 kwietnia, wczas rano, otrzymałem telegram od hr. Leona Łubieńskiego, wzywający mnie na toki głuszców do lasów mierzowskich. Na takie wezwanie jest jedna tylko odpowiedź; to też decyzya była szybka i dnia tegoż wieczorem, stawiłem się na oznaczonem miejscu.

Punkt zborny, urocza Zofijówka, domek myśliwski, wśród lasów mierzowskich położony. Domek ten dobrze mi znany, nieraz już tu zaglądałem, a zawsze goniąc za grubym zwierzem. Niedźwiedź, ryś, wilk i głuszec, oto mieszkańcy tych puszcz dzikich, przepięknych.

Trzy dni, a raczej trzy ranki, minęły mi, jak jedna chwila rozkoszy.

Nie mnie porywać się na opisanie tych wrażeń, które myśliwy odczuwa, gdy najpierw pieśń pierwszą głuszca usłyszy, gdy później pod niego się skrada, aż nareszcie, gdy go dojdzie i ma u nóg swych tak upragnioną zdobycz. Lecz nie na tem koniec rozkoszy, jakie sprawia myśliwemu polowanie na głuszce. Natura budzącej się wiosny wśród tych lasów, cywilizacyą nie zepsutych, oto tło do tych łowów, które w języku myśliwego zwiemy tokiem głuszców.

Rezultat tych trzech ranków w trzech myśliwych — dwanaście głuszców. Sama ta cyfra za siebie mówi. Ja dodam od siebie, że mogło paść więcej, przy bardziej sprzyjającej pogodzie i... Mierzowskie toki głuszców znam od lat kilku i z radością konstatuję, że dzięki starannej opiece właściciela, stan głuszców stale się powiększa i tokowiska tworzą się tam, gdzie ich dawniej nie było.

Hr. L. Łubieński, jak dobrym jest myśliwym i hodowcą zwierzyny, równie starannym jest opiekunem lasu. Liczne kanały dla osuszenia błot świadczą o tem wymownie. Mam jednak nadzieję, że nie wszystkie te błota dadzą się osuszyć, że znaczna przestrzeń tychże dla tego „królewskiego ptaka“ zostanie.

Na tem kończę, składając dzięki hr. Łubieńskiemu za miłe chwile, dzięki jemu, przeżyte i za sześć głuszców, ubitych przez niżej podpisanego.

Żegnam uroczą Zofijówkę z prośbą do św. Huberta, by łaskawem okiem zechciał spoglądać na tę część swego imperyum, tak bogatą w ginącego już gdzieindziej zwierza, a żegnam słowami: „Do widzenia“.

Władysław hr. Zamoyski.

IX Zjazd Łowiecki we Lwowie.

W d. 30 czerwca odbyło się we Lwowie, pod przewodnictwem hr. Stanisława Stadnickiego, walne zgromadzenie Gal. Towarz. łowieckiego, na którem, oprócz kilku spraw formalnych, rozstrzygnięto niektóre wnioski ogólnego znaczenia.

Przedewszystkiem rozpatrywano postawiony w roku zeszłym przez członka, p. Kesselringa, wniosek uregulowania handlu zwierzyną. W Galicyi, podobnie jak i u nas, dzięki nielegalnej interwencyi pośredników, producenci są zmuszeni sprzedawać zwierzynę po cenach bardzo nizkich, gdy jednocześnie nabywcy płacą ceny zbyt wygórowane, a wskutek tego, mimo obfitości zwierzyny, produkt ten staje się tylko dostępnym dla ludzi bardzo zamożnych. Referenci, którym Wydział Towarzystwa polecił opracowanie tej sprawy, przyszli do przekonania, jak to wyraził dr. Miziewicz, że przedewszystkiem należałoby utworzyć przy Towarzystwie biuro, którego zadaniem byłoby zbieranie zawczasu wiadomości o przypuszczalnej ilości zwierzyny w danej okolicy, a także formowanie list kupców, handlujących lub mogących handlować zwierzyną. Biuro więc miałoby za zadanie pośredniczyć za pobraniem pewnej prowizyi pomiędzy producentem a konsumentem. Dla prowadzenia czysto kupieckiej strony interesu referenci proponują powierzenie tych czynności której z firm handlowych, pod kontrolą, ma się rozumieć, Towarzystwa.

Hr. Szembek wnosi, aby członkowie Towarzystwa byli zaopatrzeni w rodzaj legitymacyj, któreby im dawały prawo odbywania kontroli nad nielegalnym handlem zwierzyną. Wreszcie p. Wysocki stawia wniosek, aby zwierzynę plombować na wzór tego, jak władze rządowe plombują trzodę chlewną. Plomby nabywa hodowca zawczasu u władz administracyjnych. Każda plomba posiada dwie liczby: rzymską w liczniku, oznaczającą starostwo, i arabską w mianowniku na oznaczenie rejonu łowieckiego w danem starostwie. Tym sposobem każdy może wiedzieć odrazu, skąd zwierzyna pochodzi.

Wszytkie powyższe wnioski zostały przyjęte.

Następnie zabrał głos dr. Sołowij, jako referent w kwestyi założenia klubu hodowli i tresury psów myśliwskich, poczem przewodniczący zamknął zgromadzenie.

O godzinie pół do 3-ej odbyło się w strzelnicy wojskowej konkursowe strzelanie z następującym rezultatem:

I. Strzelanie z pistoletów na 25 kroków: 1) p. Edward Minter, 2) p. St. Pieńczykowski.

II. Strzelanie kulami do tarcz stałych na odległość 80 kroków: 1) p. Eustachy Rylski, 2) p. Kaźm. Marmarosz, 3) p. Edward Minter.

III. Strzelanie kulami do tarcz stałych na odległość 120 kroków: 1) p. Kaźm Marmarosz, 2) p. Henryk Prek, 3) p. Albert Mniszek.

IV. Strzelanie kulami do tarcz ruchomych, mianowicie do dzika: 1) p. Henryk Prek, 2) Juliusz hr. Bielski, 3) p. Cyryl Czarkowski-Golejewski.

V. Strzelanie kulami do tarcz ruchomych, mianowicie do lisa: 1) hr. Juliusz Bielski, 2) p. Wład. Zagórski, 3) dr. Mazurek.

VI. Strzelanie do krążków glinianych: 1) p. Albert Mniszek, 2) p. Eustachy Rylski, 3) p. Wład. Zagórski.

Następnego dnia o godz. 9 rano odbyło się posiedzenie nowotworzącego się Klubu hodowli i tresury psów myśliwskich. Zrazu przewodniczył hr. Stanisław Stadnicki, a następnie p. Krogulski. Po długich i bardzo ożywionych dyskusyach nad kwestyą, jaki kierunek należy nadać Klubowi i jakie psy przedewszystkiem należy mieć na widoku, Zgromadzenie wybrało komitet w osobach pp. T. Żurowskiego, H. Kesselringa, A. Skrzyńskiego, K. Kownackiego, A. Mniszka, E. Mintera i hr. Art. Sumińskiego — do rozpatrzenia statutu oraz środków, prowadzących do jaknajrychlejszego założenia Klubu. Dotychczas zapisało się 15 członków założycieli (wkład jednorazowy 100 koron) i 16 członków zwyczajnych (wkład roczny 5 koron).

J. S.

STRZELANIE DO GOŁĘBI.

W obu londyńskich klubach (Hurlingham Club i Gun Club) rozegrano w dalszym ciągu następujące ważniejsze pule.

Gun Club 150 ℔ International Cup. (handicap).

26.	Sir F. Thelluson (połowa 310 ℔ i puhar 150 ℔)	111111111110101	12
24.	Mr. F. Cobb (poł. 310 ℔)	111111111110100	11
28.	Hr. von Althan (20 ℔)	1111111111011	11
30 1/2	Mr. G. P. Roch (10 ℔).	111111111010	10

Gun Club Championship. 25 gołębi (pierwsze 10 na 28 yardów, pozostałe 15 na 30 yardów; rozstrzeliwanie na 30 yardów). 18 konkurentów.

Mr. Braco (pub., zł. m. i 1/2 160 ℔)	0111111101111111111110111 - 1101	25 z 29
Mr. C. Collier (1/2 160 ℔)	1111111111110111111011011--1100	-24 z 29
Mr. G. Roch (1/2 160 ℔)	1111111111111111011111100 – 0	—22 z 24.

Ten konkurs międzynarodowy skończył się w dniu 1-ym lipca.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 26 lipca. P. Naczelnik pow. radzyńskiego zawiadamia, że kłusownik Trostiakczuk został skazany przez sąd gminny na 10 rubli grzywny, względnie na 3 dni aresztu.

Kaliski Oddział Cesarskiego Tow. praw. myślistwa prosi o wysłanie wewnętrznego regulaminu Towarzystwa.

Członek Towarzystwa, p. Skibiński, załączając wykaz odebranej broni przez strażnika Korczewskiego oddziału nowomińskiego powiatu, Parfona Krupicza, przedstawia go do nagrody pieniężnej. Rada zdecydowała wysłać 15 rubli dla Krupicza.

P. Naczelnik pińczowskiego powiatu zawiadamia, że rewizya, odbyta w mieszkaniach niektórych, podejrzanych o kłusownictwo mieszkańców wsi Zagórze, gminy Góry, nie wykryła broni myśliwskiej. Niemniej wspomniane indywidua oddano zostały pod ścisły nadzór straży ziemskiej.

Właściciel Warszawskiej strzelnicy, p. Robert Ziegler, zapytuje Radę, kiedy Towarzystwo ma zamiar urządzić doroczny konkurs strzelecki. List p. Zieglera Rada skierowała do Wydziału ochrony i polowań, który stale zajmuje się urządzaniem konkursów strzeleckich.

Drobiazgi myśliwskie.

Towarzystwo myśliwskie. Zatwierdzona została ustawa Towarzystwa myśliwskiego w Białej, w gub. siedleckiej. Ustawa wspomniana różni się od dotychczasowych ustaw Towarzystw myśliwskich w Królestwie Polskiem tem, że pominięto w niej wymaganie, aby prezes zarządu i większość członków była pochodzenia rosyjskiego. Zastrzeżono jednak, żeby wszelkie sprawozdania i korespondencye w granicach państwa prowadzone były w języku rosyjskim. Działalność Towarzystwa rozciąga się na gub. siedlecką. Zarząd Towarzystwa powinien znajdować się w Białej. Do Towarzystwa mogą należeć kobiety.

Okradzenie klubu. W d. 16 lipca w nocy niewiadomi z nazwiska złodzieje wyrwali lufcik w oknie od strony ogrodu i dostali się do klubu Myśliwskiego, w Warszawie, skąd skradli gotówką 2,569 rb. 78 kop.

Dla myśliwych. Na d. 31 lipca naznaczono w biurze powiatu brzezińskiego licytacyę na dzierżawę prawa polowania na gruntach miejskich w Brzezinach. Licytacya zaczyna się od sumy 40 rb. 50 kop. dzierżawy rocznej *in plus.*

Myśliwi w kłopocie. Pod tym tytułem pisze „Rozwój“: „Lat ubiegłych, gdy który z myśliwych przedstawiał świadectwo na prawo trzymania broni i kontrakt, że ma wydzierżawione polowanie, chociażby w innym powiecie, urząd powiatu łódzkiego wydawał świadectwo na prawo polowania; w r. b., gdy myśliwi zwrócili się do biura powiatu o podobne świadectwo na prawo polowania, wydano je tylko tym myśliwym, którzy przedstawili kontrakty dzierżawy polowań w pow. łódzkim, innym odmówiono“.

Król kurkowy. W krakowskiem Tow. Strzeleckiem odbyła się w lipcu doroczna uroczystość obwołania nowego króla kurkowego. Już po godz. 6 wieczorem krakowski kupiec i radca miejski, p. Wiktor Suski, celnym strzałem strącił ostatni szczątek drewnianego kura, służącego za cel braciom-strzelcom, i obwołany został dorocznym królem kurkowym. Zaznaczyć należy, że ojciec p. Wiktora Suskiego, ś. p. Antoni, również był gorliwym członkiem obywatelskiego bractwa strzeleckiego i również przed laty zdobył godność króla kurkowego. Za dalsze, najlepsze strzały, I marszałkiem tegorocznego króla kurkowego obwołany został, p. Feliks Nowotny, naczelnik straży pożarnej miejskiej; II marszałkiem p. Józef Gorecki, przemysłowiec i właściciel znanej fabryki artystycznych wyrobów żelaznych. Po ogłoszeniu powyższego wyniku, strzelcy przeszli ze strzelnicy do wielkiej sali i tutaj, po pięknej przemowie, prezes Tow. Strzeleckiego przypiął jako odznakę, złotego kura królowi bractwa, a na piersi zawiesił mu dużego, srebrnego kura, dar króla Zygmunta Augusta; marszałkom wręczył ich laski urzędowe i przypiął srebrne kurki. Potem odbył się obchód po ogrodzie przy dźwiękach orkiestry wojskowej i strzałach moździerzowych. Po pochodzie nastąpiła uczta, urządzona przez Towarzystwo Strzeleckie na cześć nowego króla, przeplatana toastami.

Łowy monarsze. W d. 15 lipca odbyło się polowanie dworskie w Ebensee. Cesarz austryacki wyjechał z Ischlu o godz. pół do 5-ej rano. Ekwipażami dworskiemi udało się całe towarzystwo przez Mitterweissenbach do Pöllitz Alm. Nagonka przystąpiła do pracy o godz. 5 rano. Cesarz ubił dwa wspaniałe jelenie. Koniec łowów otrąbiono o godz. 7-ej rano, poczem monarcha wraz z zaproszonymi gośćmi powrócił do Ischlu. W jesieni polować będą na Węgrzech południowych: cesarz Wilhelm, król saski, król hiszpański i arcyksiążę Fryderyk. Później cesarz Wilhelm, na zaproszenie cesarza Franciszka Józefa, uda się na polowanie do Styryi.

Polowania Rotszylda. O zmarłym w Wiedniu Natanielu Rotszyldzie piszą, że miał słynne majątki ziemskie — jeden pod Wiedniem, Engersfeld, drugi na Szlązku, Schillersdorf. W obu tych majątkach gospodarstwo prowadziło się wzorowo, a polowania, przeważnie na bażanty, gromadziły tam co roku liczne zastępy arystokracyi wiedeńskiej.

Cennik futer w Lipsku. Ostatni kurs podaje: za wydrę marek 20 do 25, kunę kamionkę 11 do 14.50, kunę leśną 18—22, tchórza 2—4.50, lisa 5—6, królika 0,08 (na wagę 50 — 80 za 50 kilo), zające letnie za 100 sztuk 8—12, zimowe 40—55, sarnie skóry zimowe 0.50 — 0.80, borsuka 1.50 — 3, kity kun kamionek 1 — 2, drzewnych 2 — 4, kity tchórzy 0.10 — 0.25 za sztukę. Ceny zależą od jakości towaru.

Obrazy myśliwskie. Na wystawie obrazów p. Kulikowskiego przy ulicy Marszałkowskiej zauważyliśmy za ostatniej tam bytności szereg prac treści myśliwskiej, które przytaczamy poniżej, jako obchodzące przedewszystkiem czytelników naszego pisma. Najwięcej obrazów treści myśliwskiej zostawił w salonie ś. p. Witold Weychert, przedwcześnie zgasły w młodym wieku. Na szczególną uwagę zasługuje ostatnia jego praca przedśmiertna: „Kuropatwy“ w śniegu, na obrazie dużych rozmiarów, oraz ten sam motyw na mniejszem płótnie i z nieco odmiennym pejzażem. Dalej znajdują się tam również W. Weycherta

obrazy: „Polowanie na kaczki“ (myśliwy z psem po wystrzale); „Tok cietrzewi“ (obraz ogromnych rozmiarów), „Cietrzew“, „Sarenka“, „Lis“ i „Na polowanie“ (wyprawa w saniach). Z prac innych malarzy widzieliśmy: Karola Wierusza-Kowalskiego „Polowanie“ (z chartami na lisa), Władysława Jasieńskiego „Czajka“ (w locie), Antoniego Piotrowskiego „Polowanie“ (w saniach po zabiciu zwierza), Juliusza Kossaka „Dojeżdżacz“ z chartami (rysunek piórkowy), F. Sypniewskiego „Karmienie łabędzi“, Wacława Tracewskiego „W polu“ (myśliwy z psem), Antoniego Kamieńskiego „Dramat leśny“ i Feliksa Brzozowskiego „Kozice górskie“.

Gemzy dla cesarza niemieckiego. Niedawno przesłano transport gemz z Austryi do Berlina, złożony z 4 sztuk, z których jedna stanowiła czteroletniego kozła kapitalnego, a pozostałe — trzyletnie kozy. Zamówił je u handlarza zwierzyną cesarz Wilhelm dla jednego ze swych zwierzyńców.

Zabity przez kłusownika. W Nowem Mieście, w Czechach, został zabity leśniczy, Gabezam, przez dwóch znanych kłusowników, Nowaka i Jokla, którzy go potem jeszcze ograbili. Morderców aresztowano. Zmarły zostawił wdowę i 11 dzieci.

Walka ze lwami. W cyrku Adolfa Devigne w Odessie, służący pogromcy zwierząt po nakarmieniu zaczął wpędzać lwy do klatki. Wpędziwszy je, zapomniał zamknąć drzwi jednej klatki, z której wybiegły trzy lwice i lew. Znalazłszy się na wolności, zwierzęta skierowały się do stajen, gdzie w owej chwili znajdował się z dziećmi artysta Nelson i siedmiu stajennych. Jeden ze stajennych, ujrzawszy lwy, krzyknął: Ratujcie się, lwy idą — i sam rzucił się do ucieczki. Za przykładem stajennego poszli inni, lecz zwierzęta zagrodziły im drogę. Lwy spostrzegłszy konie, rzuciły się na pierwszego z brzegu. Biedne zwierzę napróżno starało się urwać z łańcucha, którym przywiązane było do żłobu. Lwica wskoczyła kucowi „Robertowi“ na grzbiet i pazurami zaczęła go szarpać. Koń, pławiąc się we krwi, upadł, a wtedy wszystkie cztery lwy zaczęły go rozrywać. Lwy, tak posłuszne zawsze na każde skinienie swego pogromcy, tym razem gotowe były rozszarpać go Devigne, który nadbiegł z dubeltówką, strzelił do zwierząt, te rzuciły się nań, lecz przytomny dyrektor odskoczył na bok i strzelił znowu; dwie lwice zwolna skierowały się ku podwiezionej klatce, trzecia gryzła nogę biednemu „Robertowi“, a lew nacierał na Devigne'a. Położenie jego stawało się krytycznem, naboi w strzelbie już nie było, więc mężny dyrektor pochwycił strzelbę za rury, gotując się kolbą odpierać ciosy. Lew skoczył, lecz w tejże chwili pogromca Bügler pochwycił go sobie na grzbiet i w ten sposób ocalił dyrektora. Bügler wytężył wszystkie siły i uniósł lwa do klatki.

Oryginalny syndykat myśliwski. W Londynie utworzył się syndykat, który podejmuje się urządzać stale wyprawy myśliwskie do lasów dziewiczych w Afryce na lwy, słonie, nosorożce, tygrysy i t. d. Syndykat ręczy za wszelkie wygody myśliwych i za dobry rezultat łowów. Każda wyprawa trwać będzie trzy miesiące. Opłata wynosi od osoby 500 f. sterl. Każdemu z myśliwych nie wolno jednak upolować więcej nad dwie sztuki z każdego gatunku zwierząt, z wyjątkiem krokodyli i tygrysów, których liczba nie jest ograniczona.

Nagrodzony kot. Najpierwsze miejsce na wystawie kotów w Hamburgu, miała kotka angora Dodo, która już poprzednio na wystawie w Paryżu otrzymała główną nagrodę, wynoszącą około 2,500 rb. Rodowód tej kotki sięga do 1894 roku.

Z opowiadań myśliwskich. Niedawno temu spotykam w lesie wiejską dziewczynę. Prześliczna. Zagaduję ją, siadam pod drzewem, oparłszy o nie swoją strzelbę. Ona siada koło mnie. W chwili najgorętszej rozmowy zjawia się ojciec dziewoi, obrzuca mnie wzrokiem piorunującym, przyskakuje, chwyta strzelbę i...

— Strzelał...

— Nie. Ucieka czemprędzej w gąszcz lasu. Jego córka, korzystając z zamieszania, także zniknęła bez śladu.

* * *

Puszczyki. — Gdzie przebywał prorok Eliasz?

— Na puszczy.

A jakże się nazywają pobożni ludzie, którzy samotnie żyli na puszczy?

— A juści — puszczyki.

* * *

Zbytnia troskliwość. — Ależ Józieczko, nie dawaj psu tyle cukierków, zepsuje sobie zęby, zjedz lepiej sama.

Treść Nr. 15 „Łowca Polskiego“.

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO“ 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO“ prenumerować można w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO“ Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego“ adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Łowca Polskiego“ (Warecka 15).

Nad Nilem Niebieskim

przez **Jana Sztolcmana**

z ilustracyami **Józefa Rapackiego**.

Jest to niezmiernie interesujące sprawozdanie z łowieckiej wyprawy do Sudanu hr. Józefa Potockiego, któremu towarzyszył autor niniejszego dzieła. Żywo kreślone notatki myśliwskie i opisy przygód łowieckich, zdobią liczne fotografie, zdejmowane przez uczestników wyprawy, która była pierwszą myśliwską wyprawą w tej, mało jeszcze znanej sportsmenom krainie.

Wydanie ozdobne z kolorowaną okładką.

Cena rb. 5.

Prenumeratorowie „ŁOWCA POLSKIEGO“ mogą otrzymać to dzieło w Redakcyi (Warecka 15) po 4 ruble.

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Іюля 1905 г.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.